

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

18

Ciąg dalszy.

— Czy istotnie tak się pani o nią troszczy?

— Tak: ja ją wychowałam; matka jej była tancerką, ojca nigdy nie znała, jest sierotą. Chciałabym ją nauczyć życia które sama poznałam. A pan markiz pozwoli mi powiedzieć, że źle czyni, lekceważąc mnie. Moja obecność tutaj świadczy o chęci porozumienia się. Bo czegoż może pragnąć Maud? Bogatego przyjaciela, któryby ją kochał i nią opiekował się!

— Właśnie ja chcę być tym przyjacielem i zapewnić jej przyszłość. Występy w teatrzykach nie są dla niej, tak pięknej, odpowiednie.

— Ach, to tylko obiecanki panie markizie.

— Odkąd to Morailles nie dotrzymuje słowa?

— Kodeks honorowy nie obowiązuje mężczyzn wobec kobiet.

— Widzę, że pani mnie nie zna — odpowiedział z dumą. — Inaczej wiedziałaby pani...

— Niech się pan markiz na mnie nie gniewa, a ja za to opowiem pewne zdarzenie ze swego życia.

— Słucham — odparł grzecznie.

— Był raz pewien magnat, którego imienia w tej chwili nie pamiętam. Znane ono jednak było powszechnie, należało do najstarszej szlachty. Magnat ten miał żonę, bardzo piękną, czystą i szlachetną, której jednak zdarzyło się raz, iż zdradziła swego męża....

Spojrzał bystro w oczy mistress Harden. Ona mówiła dalej.

— Zdradziła go, gdy bawił w podróży i zdradziła go tak, iż została z kochanki matką. Uważała, iż tajemnica jej jest dobrze strzeżona, nie wiedziała tylko co ma uczynić z dzieckiem, które miało wkrótce narodzić się. W rozpaczy napisała list i wysłała depeszę do kochanka, który bawił daleko. Kobiety zawsze źle robią, pisząc. List ten i depesza wpadły w ręce osoby, pragnącej się zemścić na swej rywalce.... Zdaje mi się jednak, że pan markiz myśli o czym innym?... moje opowiadanie zapewne nudne jest?

— Ależ, proszę bardzo, interesuje mnie — starał się odpowiedzieć spokojnie, choć zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Najlepszym sposobem zemsty było postanie tych listów mężowi, ale osoba ta potrzebowała wówczas pieniędzy, zaproponowała więc mu sprzedaż tych papierów. Magnat ten, czy to obawiał się, by go nie oszukano, czy też żałował pieniędzy, dość, że nasał na nią detektywa nazwiskiem... ach, zaraz, na końcu języka je mam... zresztą, mniejsza o to nazwisko, który zagrabił jej te dokumenty i przymusił do napisania wyznania, iż chciała urządzić tylko szantaż, a żadnego listu ani depeszy nie miała.

— Czyż możliwe! — zawołał markiz, stając się bladym.

— Och, przypominało mi się to nazwisko, jest to Roggers, sławny detektyw amerykański, a jego pomocnik nazywał się Cockley.

— Skąd pani dowiedziała się o takich bajkach?

— Dlaczego nazywa pan to bajkami? — zapytała mistress Harden, patrząc mu bystro w oczy. — Opowiedziała mi je moja przyjaciółka, której się to zdarzyło!

— A więc ona kłamała, beczelnie kłamała — zawołał z wściekłością, czując jak otwierają się w nim nanowo zagojone już rany.

Mistres Harden odpowiedziała:

— Pan ma krótką pamięć, panie markizie. Proszę przypatrzeć się mnie. To ja jestem tą przyjaciółką, to ja uprzedziłam pana o istnieniu tych papierów, ja je chciałam sprzedać i mnie wyrwał je pański agent. Lecz ja nie zapominam, a gdy nadchodzi odpowiednia chwila, korzystam z niej i mszczę się.

Markiz aż cofnął się w tył, opierając się o fotel i patrząc na nią z szalonym gniewem zmieszanym ze zdumieniem. Wyszeptał:

— Czarna księżniczka!

— Wreszcie nazwał mnie pan po imieniu, a teraz czy słusznie, że nie dowierzam.

— Ja pani nic nie przyrzekłem, a zresztą nie wierzę w to.

— Jak pan chce.

— Nie, nie wierzę; pani po wypuszczeniu z więzienia zapewne zaczyna tę samą grę, którą przegrała poprzednio. Nie wierzę pani!

— Najgorszą rzeczą jest głuchota dla tego...

— Pani celem teraz jest sprzedać mi jak najdrożej Maud. Co panią z nią łączy? jaki wpływ pani na nią wywiera? Zresztą obojętnem mi jest rodzaj pani stręczycielstwa. Gotów jestem ułożyć się z panią co do Maud. Czego pani żąda dla siebie?

— Pięćdziesięciu tysięcy franków, które miałam otrzymać dawniej.

— Będzie je pani miała. A dla Maud?

— Zapewni jej pan kapitał trzysta tysięcy franków. Za tę cenę....

— Co?

— Za tę cenę...

— A pani weźmie pieniądze i zniknie razem z nią. Prawda?

— Myli się pan markiz. Ja ufam panu. Na drugi dzień podpisze dopiero markiz dla niej dotację.

Pan Morailles zgodził się na te warunki i od tego czasu posiada Maud, którą zdobył sobie wraz z przekonaniem o wiarołomstwie żony.

## IV.

## CZARNA KLACZ.

Pociąg zbliżał się do Fontainebleau.

Pani Seymour pozostała w Medyolanie, skąd miała wkrótce wyruszyć samochodem do Paryża. Na dworcu Lyońskim pożegnali się z panem Mitre, na którego czekała matka, starszka już prawie niewidoma, prowadzona przez służącą, lecz zawsze trzymającą się blisko z miną do rozkazywania.

Państwo Le Chars pozostali na kilka dni w Paryżu, gdzie mieli do załatwienia wiele spraw. Maurycy mimo przyjemności i rozrywek w stolicy, pozostawał ciągle zamyślony, jakby przytłoczony tą tajemnicą, którą ukrywał przed żoną. Wreszcie pewnego wieczora, po powrocie z koncertu, nie mogąc sobie dać rady z męczącym go smutkiem, wyznał wszystko Joannie.

Patrzyła na niego z takim bólem w oczach, iż u nóg jej płakał jak dziecko. Wzruszona jego cierpieniem, pocieszała go:

— Nie martw się, pieniądze te należą do ciebie i ja bym ci słowa jednego nie powiedziała, gdybyśmy nie mieli Jacka. Mnie zawsze z tobą dobrze, lecz musimy dbać o dziecko, które powierzył nam Robert i Aurora.

— Ach, to mnie do rozpaczy przyprowadza, że z mej winy on będzie uboższy, nie otrzyma tego, coby mu ojciec rodzony zabezpieczył.

— Tak, lecz wszystko jeszcze można naprawić. Ileś wszystkiego przegrał?

— Przeszło dwieście tysięcy franków.

Wobec tej wielkiej sumy z trudem tylko zdołała ukryć swe przerażenie.

— Trudno, będziemy oszczędzali, zmniejszymy swe wydatki, daj mi tylko słowo, że nie będziesz już więcej grał.

— Przebac mi i ufaj już, twoja wiara we mnie da mi siły do pokonania tej namiętności.

Pocałunek, jaki złożyła na jego ustach, stwierdził jej dobroć i miłość dla niego. Na drugi dzień odwołała wszelkie zamówienia w magazynach, jakie poprzednio poczyniła i przyspieszyła wyjazd do zamku.

Gdy pociąg dojeżdżał do stacyi, odezwała się:

— Jak Aurora będzie szczęśliwa, widząc swe dziecko!

— Jestem pewny, że będzie czekała na dworcu — dodał mąż, nie powiedział jednak całej swej myśli: „oby tylko on jej nie towarzyszył“.

Po wyjściu z wagonu rozglądali się wokoło, szukając oczami pani Morailles, lecz ujrzeli tylko, jak zbliżał się do nich jakiś ksiądz i przedstawił się z elegancją, uchylając kapelusza.

— Ojciec Remy.

Po wymianie ukłonów, dodał:

— Prosiła mnie markiza o wytłumaczenie, iż z powodu zepsucia się w ostatniej chwili landa, nie mogła przybyć na dworzec. Na państwa oczekuje wygodna wiktorya, po rzeczy zaś przybędzie zaraz wózek.

Z wielką uprzejmością poprowadził ich do pojazdu, gdzie stangret z trudem tylko utrzymywał zaprzężoną do wiktoryi czarną klaczkę, płoszącą się gwizdaniem lokomotywy.

— To dziwne — rzekł ojciec — że ta klacz tak nerwowa, jak mnie uprzedzał markiz, dowiozła mnie zupełnie spokojnie.

Rzucił okiem na stangreta, który nie bardzo pewnie trzymał się na nogach.

— Co to, Józefie, koń się płoszy?

— To nie, to nic, damy sobie radę — odparł jękając się Józef, pokrzepiony w bufecie stacyjnym kilkoma kieliszkami absyntu.

Na twarzy Joanny malowała się obawa, lecz

klacz wkrótce uspokoiła się i podrozni pożegnawszy się z ojcem Remy, ruszyli.

Ksiądz, oczekując na swój pociąg, pozostał zamyślonym. Uderzyło go dziwne podobieństwo syna państwa Le Chars do markizy: jakie może ich łączyć pokrewieństwo? pomyślał.

— Proszę księdza dobrodzieja, a nie stanie się im co złego z tą płochliwą klaczką?

Obrócił się zdziwiony tym troskliwym zapytaniem. Była to Ludwika oczekująca z rzeczami na wózek. Uśmiechnął się:

— O, nie, Józef dobrze powozi, dowiezie bezpiecznie.

Nie tego zdania był tragarz, który niezadowolony, że nie otrzymał za pomoc w trzymaniu konia, mruczał.

— Oho, znam ja tę klaczkę! Powiezie ona wszystkich na złamanie karku! Jest spokojna jak czart, gdy mu kto na ogon nastąpi!

Tymczasem pan Morailles zajęty ubieraniem się do obiadu, myślał o swych gościach. Przejażdżka z Maud Kiss i rozkoszny odpoczynek w myśliwskim domku, ukrytym w głębi lasu, który nie raz już był świadkiem jego namiętności do młodej kochanki, rozbudził w nim nienawiść do żony, która śmiała odplacić się mu za jego niewiarę małżeńską. Od chwili, gdy po raz drugi dowiedział się o zdradzie pani Morailles, chęć zemsty rosła w nim ciągle, stawała się coraz potężniejszą. Zwlekał z nią, by natrafić na chwilę, kiedy zadany cios jego ręką, wstrząśnie wnętrzościami niewiernej żony. Lubował się tą myślą, jak będzie patrzył na jej ból, jak ją poprowadzi na kalwaryę, na której będzie wolno konała.

By chęć zemsty w nim nie osłabła, pobudzał ją w sobie tworzonemi w imaginacji obrazami rozkoszy, jakich markiza doznawała w tym samym zamku w objęciach Roberta Le Chars. Na myśl tę wściekłość szalona ogarniała go, chciał zemsty okrutnej, piekielnej, a przedtem jeszcze wyrwać jej z ust wyznanie własnej winy. Zapraszając państwo Le Chars, miał ukrytą myśl: odkryć całą przeszłość, a potem dopiero działać, utorturować ją i jej współników.

Pani Morailles, która ukończyła swoją toaletę, liczyła chwile, oddzielające ją od przyjazdu drogich gości. Tak bardzo pragnęła wyjechać na ich spotkanie, lecz w ostatniej chwili pękł resor od landa, a samochód dopiero wieczorem miał nadejść z Paryża, gdzie był w reperacji.

Tymczasem mrok już zupełny zapadł i nasi goście jechali po ciemku, niepewni drogi, jaką przebywali. Józef z trudnością tylko utrzymując nerwową klaczkę, nie ufał już sobie zupełnie i mruczał bezustannie, jakby tłumaczył się z niepopelnionych win:

— Dlaczego mi kazano zaprząd „Klorindę“ (imię klaczy), kiedy ona chodzi dobrze tylko w parze razem z „Plumcake“. Przecież pan markiz wiedział, że w stajni stoi spokojny jak baran „Boloro“... Z pewnością ona mnie znowu urządzi jak niedawno....

I niepewny swych ruchów od wypitego absyntu, chcąc wyrzucić swą złość na klaczkę, która szła nie równo, ściągnął cugle i uderzył ją batem.

„Klorinda“, czuła w pysku i nie bardzo cierpliwą, skoczyła na prawo, na lewo, pociągnęła pyskiem, rozluźniła sobie munsztuk i popędziła naprzód.

— Nie tak prędko, wolniej! — zawołał Maurycy, obawiając się o żonę i dziecko.

Józef z wielkim wysiłkiem zdołał powstrzymać konia i stanął na chwilę, by zapalić latarnie. Była już pełna noc. Zaledwie wsiadł z powrotem na kozioł, gdy klacz znowu poniosła.

— Wolniej! wolniej! — wołał Maurycy.

Lecz w tej chwili rozległ się głos trąbki i olbrzymi samochód z dwoma żarzącymi się ślepiami na przedzie, przesunął się koło nich. Przestraszona klacz pomknęła jak szalona. Napróżno Józef ściągał ze wszystkich sił lejce. Państwo Le Chars, trzymając między sobą Jacka, widzieli tylko, jak migają przed ich oczyma wielkie cienie drzew lasu, słupy telegraficzne, wreszcie odkryta płaszczyzna, w końcu której wielką plamą czernił się gmach zamku. Klacz czując bliskość stajni, wyciągnęła się i parła jak strzała naprzód. Wiktorya, w której siedzieli, nie toczyła się już, lecz skakała, podrywana przez rwący pęd „Klorindy“. Wszystko im znikło z oczu, jedna ciemna masa otaczała ich zewsząd. Nie czuli nic, naraz rozległ się trzask, wiktorya zawadziła kołem o ogrodzenie parku zamkowego i pomknęła naprzód na mury zamku, nie wstrzymana już przez nikogo, gdyż Józef został wyrzucony z siedzenia wprost pod koła pojazdu, który przeleciał po jego ciele. Groziła im niechybna śmierć rozbicia się o front zamku, do którego dążyli. Naraz, przywołany krzykiem Joanny, rzucił się do pyska klaczy jakiś mężczyzna i ciągnięty przez nią jeszcze z pięćdziesiąt metrów, zdołał ją zatrzymać.... Był to pan Morailles.